NUMER 42. DNIA 28. PAŹDZIERNIKA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

KAPLICA NA WULCE.

(Podług fotografji T. Klementa z r. 1865).



Zbudowana na pamiątkę i uczczenie poległych w powstaniu styczniowem, jest kaplica na Wulce, we Lwowie, celem patrjotycznych pielgrzymek młodzieży polskiej zwłaszcza w narodowe rocznice wybuchu powstania styczniowego i stracenia pięciu członków rządu narodowego na stokach cytadeli warszawskiej.

Kaplica ta wzniesiona na wzgórzu po nad drogą wulecką, skromna, przez cały rok prawie, z wyjątkiem chwil narodowych uroczystości zamknięta znajduje się pod opieką młodzieży polskiej.

Rycina nasza przedstawia jej pierwotny kształt i otoczenie w chwili ukończenia budowy.

Z cmentarnej przechadzki.

Nagrobki, mogiły, cała ta ziemia cmentarza łyczakowskiego ciągnie ku sobie dziwnym, zadumanym szeptem i wabi niby syrena nadzieją wiecznego, a przedewszystkiem cichego spoczynku. Taka uśmiechnięta, rozkoszna, taka prześliczna ta boża rola ze swoimi wzgórzami, zielenią, że pochylone ku niej czoło, kto wie, ażali nie zazdrości... mogił popiołom, które zdala już omija smętek życiowy.

A zwłaszcza popiołom tych mogił, które nie łacno pominie przechodzień, przed którymi czoło pochyli, albo się na symbol zapatrzy nagrobka i złote litery przeczyta z rozbudzonem wspomnieniem żywota pełnego zasługi.

Siedząca olbrzymia postać wieszcza Seweryna Goszczyńskiego i uosobienie żalu nad grobem uczonego Piotra Chmielowskiego, to niejako stróże grodu, gdzie wszystko w obliczu śmierci zrównane i spi razem na poświęcanej ziemi. Gorejąca pochodnia z nad grobu Włodzimierza Barwińskiego powiedzie w ten gród umarłych, postać starca, garnącego dzieci ku sobie na grobie Torosiewicza, płomień miłości w sercu zapali, a wsparty na księgach uczony prawnik, na pomniku Zborowskiego, zadumą oczy napełni i dostojną powagą.

Po prawej stronie głównej alei grobowiec weteranów z r. 1831 w kształcie sarkofagu, na którym leży czapka ułańska, a nad nią się orzeł polski unosi. Tuż obok, jakby w tego orła wpatrzone popiersie Jana Dobrzańskiego († 1886), wielkiego, niezrównanego redaktora, ojca prasy lwowskiej, a opodal dzieło jednego z najlepszych architektów polskich, p. W. Halickiego — romańska kaplica Barczewskich, koło niej grób Leopolda Rolanda, filantropa. Z ubocza wreszcie patrzy kaplica Maurycego Dzieduszyckiego († 1877), uczonego, historyka, literata, dyrektora Ossolineum.

W dalszym rzędzie nagrobków głównej aleji, ascetyczna twarz Karola Szajnochy († 1868) patrzy z granitowego obeliska. Na obelisku usiadł orzeł polski, a u stóp symbole historji i literatury wyrzeźbił Parys Filippi i Abel Perier. Obok wielkiego historyka legł na wieczny spoczynek wojownik Józef Śmiechowski († 1875), major wojsk polskich z r. 1831 a jenerał z r. 1863. W południowej znowu stronie aleji, po prawej ręce, zwykły, kamienny krzyż przykrył zwłoki Józefa Dzierzkowskiego († 1865), literata i powieściopisarza, a kamienny obelisk przygniótł grób Augusta Bielowskiego († 1876), historyka i poety.

Nad umarłą panienką (Marją Miączyńską † 1866) przepiękny ukląkł genjusz śmierci, dłuta Parysa Filippiego, a na ścianie groty wiersz napisał K. U.:

„Gdy ją anielskie odwołały hasła,
„W jutrzence życia błysnęła i zgasła.
„Ach! jakże różny niesie Twój skon skutek.
„Radość niebiosom, a rodzicom smutek".

Obok, żadnym wierszem nie zaopatrzony grób poety Karola Balińskiego († 1864) w kształcie skromnego kamienia grobowego, otoczonego żelaznem ogrodzeniem, a nieco dalej wyniosły czworogran grobowy, kryjący w sobie szczątki słynnego muzyka, Karola Lipińskiego.

W północnej stronie głównej aleji na prawo znowuż dwaj spoczywają literaci: Walerego Łozińskiego († 1861) grób z podobizną zmarłego, uwieńczoną bluszczem, i granitowy obelisk historyka i pedagoga, Henryka Schmitta († 1885).

Opodal mogiły, które czekają jeszcze nagrobka: Marji Bartusówny († 1886) poetki-słowika z szarego ugoru, co legł przedwcześnie zimnem życia zwarzony, Bronisława Szwarcego († 1903) członka rządu narodowego i więźnia w Szlisselburgu, Kazimierza Mokłowskiego († 1905), który podwaliny kładł dziejom sztuki ludowej.

Obok i hen ku górze groby się rozłożyły bezimienne na „turnusie", czekając swojej koleji, aż je ręka grabarza przekopie i świeżym umarłym miejsce uczyni. Takie mnóstwo tych drobnych, pochylonych krzyżyków — całe pokolenie zda się spi pod nimi, cicho i spokojnie. Więc mimowolne westchnienie uleci po nad te bezimienne mogiły, westchnienie o wieczny odpoczynek.

Ale ponad wszystkie zadumą napełnia grób Artura Grottgera († 1867). W środkowej części cmentarza on leży, klęcząca postać niewieścia pod krzyżem, ze środka wygląda płaskorzeźba z niezapomnianą twarzą geniusza, a grobowiec Józefa Kalinowskiego († 1825) jenerała wojsk polskich, jakby straż trzymał w gotyckiej kapliczce.

I znowuż wyżej dwóch się położyło literatów. Jeden Wacław Zaleski (Wacław z Oleska † 1849) namiestnikiem był Galicji, a równocześnie poetą i etnografem. Wysoki słup z piaskowca z gotycką ornamentacją, stanowi cmentarne

wspomnienie zmarłego. Drugi grób Jana Nepomucyna Kamińskiego dyrektora teatru i znowu poety († 1855). Na obelisku granitowym, z wypukłorzeźbą literata, artysty i obywatela, wyryty wiersz:

„Nie przestańcie wy uczeni
„Siać ziarna mądrości,
„Choć się teraz nie rozpleni,
„Zejdzie w potomności“.

Dobra, złota nadzieja dla tych, co jak Kamiński ciernistymi drogi chadzali po świecie.

Aż oto na tej wędrówce cmentarnej krok się zatrzyma przed dobrze znanym, a takim skromnym czarnym kamieniem. Legło tam serce gorące, co jeszcze z za grobu pyta: „A jakżeż zmartwychwstaną serca umarłe, jeśli ich nie ukochają żywe?“ I staje jakoby żywa postać cichej pracownicy i jakby słychać pieśniarską gędźbę Kościuszkowych bojów i za „wolność a lud“ walki serdecznej — szelest srebrnych piór jakby przemknął ponad wierzchołki drzew cmentarnych i jakby roznosił odpowiedź na zagrobowe pytanie:

Bo przecież zmartwychwstaną serca umarłych ludzką pamięcią, ludzkiem wspomnieniem i pracą ludzką. A mogiłę z czarnym nagrobkiem ukochały serca żywe i duszy, snem wiekuistym ukojonej, sztandar dalej poniosły na świt, na zorzę wolności...

Więc zmartwychwstaną serca umarłe!

F. J.

Projekt reformy szkół średnich.

(Patrz: „Muzeum“, marzec i wrzesień 1906).

(Ciąg dalszy).

Reformę szkół średnich można pojmować podwójnie; można dążyć do przebudowania fundamentów starej szkoły i stworzenia nowej, opartej na całkiem odmiennych zasadach; można jednak także podstaw nie tykać, a wypleniać złe o tyle, o ile się to da bez naruszenia zasadniczego schematu szkoły. Działalność w tym drugim zakresie przyniosłaby również wiele dobrego i dla szkoły i dla społeczeństwa.

Jak powinna nowa szkoła wyglądać — to pozostawimy sobie na później, wpierw jednak zastanówmy się, o ile by się dała w istniejących ramach poprawić.

Wstręt do szkoły cechuje nie tylko gorszą, ale i lepszą młodzież; czuje ona instynktownie, że bezwzględny system szkolny chwyta ją w swoje tryby, aby ją skoślawić i zdeprawować; więc ulegając, broni się — nienawiścią. Drugim takim smutnym objawem jest „brak szlachetnego idealizmu u olbrzymiej części młodzieży, idącej na uniwersytet“. Większość uważa szkołę średnią i uniwersytet za stopnie, po których dochodzi się do przyzwoitych rang, tytułów, odznaczeń. Typ bezmyślnego młodzieńca, przeciętnego „prawnika“, który tylko „kuje“ do egzaminów, aby „przeleźć“, jest niestety zbyt pospolity wśród naszej młodzieży.

Na ten stan ujemny naszego szkolnictwa złożyło się wiele czynników. Winne jest społeczeństwo, winni nauczyciele, winna najwyższa magistratura szkolna. Społeczeństwo zawiniło tu swoją obojętnością, której zresztą trudno się dziwić. Nie mając ze szkoły zysków moralnych, chcieliśmy mieć przynajmniej materjalne — a na podjęcie gruntownej reformy byliśmy za wygodni, za apatyczni. Zresztą wiedzieliśmy o tem nazbyt dobrze, że szkoła jest instytucją rządową, nie narodową, że wszystkie zakusy w tym kierunku rozbiją się o nieprzychylne stanowisko Wiednia, który chciał w młodzieży naszej znaleść lojalnych poddanych, nie dobrych Polaków. W takiem środowisku społecznem rozwijała się (sit venia verbo) szkoła galicyjska, usunięta zupełnie od twórczego współdziałania ogółu.

Magistratura szkolna zawiniła najbardziej w tym względzie, że przybrała charakter polityczno-państwowy. Na jej czele stawali zawsze ludzie, nieobznajomieni dokładnie z potrzebami szkoły, co pociągnęło za sobą ten skutek, że sprawy administracyjne wybiły się na plan pierwszy, zepchnąwszy kwestje pedagogiczne na stronę.

Ta przewaga strony prawno-administracyjnej szkoły nad jej stroną pedagogiczną przeniosła się i do samejże szkoły. Nie rzadkie są to wypadki, gdzie nauczyciela oceniano nie według jego pedagogicznych sprawności, ale według tego, czy dokładnie i na czas załatwiał tysiączne drobiazgi, związane mniej lub więcej luźnie z jego zawodem.

Ale i nauczyciele nie są też wolni od winy. I wśród nich znajdują się jednostki szkodliwe, charaktery ujemne, obniżające poziom szkoły i szkodzące jej dobrej sławie. Takie indywidua należało czemprędzej usuwać od szkoły i młodzieży. Tymczasem działo się przeciwnie. Grona nauczycielskie tolerowały zło wśród siebie, kierując się źle zrozumianem koleżeństwem, władza patrzyła na występek przez palce, albo nie chcąc go wi-

dzieć, albo nie umiejąc się zdobyć na energję. Doszło w końcu do tego, że indywidua takie broiły dalej zupełnie bezkarnie, odchodząc w końcu w pełni sił w stan „dobrze zasłużonego“ spoczynku.

Również i wykształcenie niektórych nauczycieli pozostawia wiele do życzenia. Jak z jednej strony możemy się poszczycić ludźmi prawdziwie światłymi, którzy pracują w zawodzie, utrzymują kontakt z prawdziwą wiedzą i idą z nią naprzód, tak z drugiej strony nieraz są przykłady nieuctwa wśród sfer nauczycielskich, nieraz wypadki obskurantyzmu i wiedzy podręcznikowej. W jakiem świetle staje tego rodzaju nauczyciel wobec kolegów i wobec uczniów, o tem chyba nie potrzebujemy wspominać.

Pilne spełnianie obowiązków i konsekwentna praca powinna być hasłem każdego nauczyciela. Lecz i pod tym względem ileż wśród nauczycielstwa mamy przykrych wyjątków! Wielu, bardzo wielu jest takich, którzy szkołę traktują jako zajęcie uboczne, jako coś drugorzędnego. Każdy z nas przypomina sobie z własnego doświadczenia bodaj-że jednego profesora, który na lekcji — nic nie robił. Zdarzały się jednostki, które właściwie niczego nigdy nie uczyły, zbierając zawsze pochwały i odznaczenia. Tajemnica ich powodzenia leżała w umiejętnem stosowaniu się do „ważnych“ drobnostek, dowcipnem aranżowaniu „wzorowych“ lekcji; gdy przeciwnie nieraz najgorętsze chęci i zapały, skoro tylko w czemkolwiek przekroczyły utarty szablon, spotykały się z zimnem wzruszeniem ramion lub zgoła naganą.

W sferach nauczycielskich mówi się bardzo często „jaki dyrektor, takie i gimnazjum“ — i nie jest to powiedzenie pozbawione racji. Dyrektor nadaje zakładowi ton i barwę: jego temperament staje się temperamentem zakładu, jego zalety zaletami zakładu, jego błędy błędami zakładu. Jest to rzecz naturalna i nikogo dziwić nie powinna. To też dobieranie odpowiednich dyrektorów powinno być przedmiotem wielkiej troski u wyższej władzy. Lecz jak gdzieindziej tak i tutaj władza nie zawsze postępuje odpowiednio. Jest bardzo wielu dyrektorów, których pedagogiczne kwalifikacje na tę godność są nierozwiązalną zagadką. Zostają dyrektorami ludzie o ciasnych horyzontach, nie znający własnego fachu, bezduszni pedanci, którzy nie mogąc się zdobyć na żywe zrozumienie duszy dziecka, trzymają się niewolniczo szablonu, czuwają trwożnie nad wypełnieniem przepisów i formalności i w ten sposób hamują swobodny i naturalny rozwój metody nauczania. Dyrektor taki traktuje nauczycieli na równi z uczniami, wszelki zapał uważa za zbyteczny, wierząc święcie w skuteczność rozporządzeń i przepisów. Obarczony tysiącznemi zajęciami biurowemi, dyrektor niema po prostu czasu zająć się wychowaniem; musi „odrabiać“ kawałki, być dyrektorem „expedytów“. A któż na tem wszystkiem najbardziej cierpi? Szkoła.

Bardzo wiele złego sprawia i system dzisiejszej kwalifikacji. Wszyscy narzekają na przeciążenie, nauczyciele i uczniowie. Najprostszem, najbardziej narzucającem się wyjściem z tego stanu rzeczy jest niewątpliwie ograniczenie materjału nauki. Tymczasem władze wyższe chwyciły się dziwnego środka w tym względzie. Oto nakazują dalej uczyć w s z y s t k i e g o, a wymagać tylko c z ę ś c i przerobionego materjału. Że tego rodzaju postępowanie demoralizuje młodzież, to rzecz oczywista. Wyrabia się bowiem w młodzieży przekonanie, że pewnych rzeczy uczonych w szkole można n i e u m i e ć, co pociąga za sobą lekceważenie wymagań szkolnych. Nie dziw przeto, że w klasach wyższych natrafia się na młodzież, która niema pojęcia o najbardziej zasadniczych, elementarnych wiadomościach, a która w ten sposób zatruwa życie i sobie i uczącemu. Winę tego ponosi przedewszystkiem władza. Ona to wymaga, aby stopień złych not nie przekraczał stale pewnej wysokości procentowej, a ganiąc w przeciwnym razie nauczycieli klasyfikujących za zbytnią surowość lub złą naukę, uniemożliwia normalny rozwój inteligencji i prawdziwą korzyść.

Najważniejszym warunkiem odrodzenia narodu jest rozpoczęcie pracy twórczej na polu szkolnictwa. Tymczasem dotychczas nie zrobiło się u nas na tem polu zupełnie nic. Większość lepszych pedagogów była dotychczas zapatrzona we wzór szkoły niemieckiej, nie mogąc tego zrozumieć, że dzieci polskie potrzebują zupełnie odrębnej metody nauczania, metody zgodnej z ich własną organizacją umysłową. Porównajmy podręczniki szkolne angielskie, francuskie i niemieckie, a przekonamy się, jaka ogromna między nimi różnica. Tymczasem nasze polskie podręczniki są albo tłómaczeniami niemieckich, albo ich naśladownictwami. Na nic nie zda się ekskuza, że ustawodawstwo w zakresie gimnazjów należy do parlamentu. Przy dobrej woli bylibyśmy mogli wiele uzyskać nawet ze zgodą Wiednia, dla któ-

rego nasze wewnętrzne szkolne sprawy są zawsze... dość obojętne. Wina leży po stronie naszej, po stronie społeczeństwa. Nie umiemy „chcieć“ i to jest największem źródłem niepowodzeń naszych w tym kierunku.

Współdziałanie domu ze szkołą, ten tak ważny czynnik wychowawczy, również nie istnieje u nas dzięki zupełnej apatji społeczeństwa. To też szkoła nowa, szkoła polska będzie musiała prawdopodobnie wszystkie obowiązki wychowawcze wziąć na siebie. W dzisiejszych czasach szkoła i dom stają naprzeciw siebie, jak dwa wrogie czynniki. Jeśli szkoła dzisiejsza nie wpaja w młodzież ideałów czynnych — to i dom z pewnością ich nie wpaja. Drobna część młodzieży uczy się ideałów z książek, z życia koleżeńskiego i partyjnego. Ten ostatni czynnik szczególnie wyrządza wiele złego; suggestjonowana najczęściej fanatyzmem i dogmatyzmem, nieopatrznie przelewa bujność ideałów w wąskie koryto haseł i hasełek — lgnie do frazesu i krzykactwa.

Jest wiele jeszcze czynników innych, które by można bezpiecznie usunąć, nie naruszając podstaw dzisiejszej szkoły. O tych jednakże nie będziemy już mówić, jako o mniej ważnych. Przystąpimy natomiast do części pozytywnej: jak przedstawia się szkoła polska w przyszłości; jak powinna wyglądać, jak ją należy skonstruować.

(Dok. nast.). *Ślep.*

GUSTAW JANSON.

DZIECKO.

Wóz ratunkowy wjechał w bramę szpitalną, okrążył gazon podwórzowy i zatrzymał się przed wejściem. Dwaj służący, którzy już oczekiwali, zbiegli ze stopni, szybko otwarli drzwi karetki i znikli w jej obszernem wnętrzu. Niebawem ukazali się znów z noszami, na których leżało coś w rodzaju ciała ludzkiego. Poważnie, powoli, odpowiednio do swojego zajęcia, wyszli z ciężarem swoim po stopniach, na które latarnia, wisząca u wejścia, rzucała okrągłą plamę świetlną, a od niej jeszcze jaskrawiej odbijał smutny mrok zimowy. Weszli, ostrożnie wsuwając nosze i znaleźli się w szerokim, szpitalnym korytarzu. Idący z tyłu smutno potrząsał głową — zbyt dawno pracował w tym zawodzie, aby nie poznać się na tym wypadku, niepozostawiającym żadnej nadziei.

Służący minęli korytarz i zbliżyli się do sali operacyjnej. Lekarz, który wraz z dwiema dozorczyniami stał gotów na przyjęcie rannych, podszedł ku noszom. W pół minuty poznał stan przywiezionych. Skończył oględziny i dał znak, że można zabrać zwłoki. Przygotowani byli już na to, a gdy schylali się, aby znów ująć za nosze, wydobył lekarz z pośród brudnych, zakrwawionych łachmanów, okrywających trupa, mniejsze zawiniątko i złożył je przed sobą na stole. Gdy służący znajdowali się już u drzwi, zakaszlał jeden z nich w sposób, zdradzający, że zamierza postawić jakieś pytanie.

— Jeszcze nie — odparł lekarz półgłosem — żyje.

Służący poszli, tamci troje pozostali przy rannym. Był to chłopczyna wychudły, nierozwinięty, karykatura dziecka, które i bez krwawiących łachmanów, otulających je, działałoby odstręczająco swoją brzydotą i karykaturalnością. Lekarz odwinął wyniszczone biedactwo z brudnych szmat, które upuścił na ziemię, zniecierpliwiony nieco, że musi się dotykać tych wilgotnych, cuchnących łachmanów. Dozorczynie pomagały mu, pełne współczucia, przyniosły ciepłej wody i gąbkę, złożyły obok dziecka przyrządy, które mogłyby się okazać potrzebne, przygotowały watę i bandaże.

Rozpoczęło się badanie, a trwało tym razem długo. Po umyciu i opatrzeniu małego, odezwał się lekarz:

— Złożymy go tymczasowo w numerze trzynastym.

Wzruszył z politowaniem ramionami i odwrócił się.

— Biedactwo! — rzekła jedna z dozorczyń, patrząc na chłopca, który przez cały czas leżał bez ruchu, nie okazując niczem, że zdaje sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje. Pochylona nad stołem kobieta, chociaż przywykła do podobnych widoków, uległa niezwykłemu wzruszeniu i powtórzyła machinalnie: biedactwo! biedactwo!

— Niema ratunku — odezwał się lekarz, idąc ku wodociągowi i gwałtownie poprawiał coś koło cwikiera, który mu się widocznie osunął.— Prawy bok zgnieciony — mówił dalej, kryjąc drżenie głosu pluskiem wody — trzy żebra złamane i liczne, ciężkie, wewnętrzne obrażenia. Rana na karku mniejszego znaczenia, ale nie przeżyje dwunastu godzin. Jeżeli odzyska przytomność, proszę mu dać coś dobrego. Ponadto

nic nie możemy uczynić dla niego. Odwiedzę go wczesnym rankiem. — Głos już znowu brzmiał spokojnie, a cwikier się przestał osuwać. Pożegnał się zwykłem: do widzenia!

Dozorczynie wiedziały, co znaczy, gdy się pacjenta odsyła pod numer trzynasty. Przeznaczony on był dla tych, których niebawem miano znów wynieść zimnych, sztywnych. Była to poczekalnia na kilka godzin lub dni, zaopatrzona we wszystko, co może uprzyjemnić życie. Obecnie numer był wolny i nadawał się doskonale na przyjęcie tego biednego malca, którego bezprzytomnego wniesiono tu z zimna i ciemna, i ułożono w cieple i jasności.

Obie kobiety znały dzieje chłopca, zwłaszcza ich część ostatnią, najważniejszą. Była to straszna, wstrętna tragedja, która się rozegrała świeżo w jakimś zaułku. Jakiś człowiek nieprzytomny, pod wpływem alkoholu, zmiażdżył czaszkę matki i w ślepej wściekłości i nienawiści stratował nogami malca, leżącego tu. Nie było zbyt trudno wyobrazić sobie, jak się to wszystko odbyło — równie łatwo można sobie uprzytomnić sąsiadów, dobijających się do zamkniętych drzwi, krzyki i wzywania ratunku ze środka, zanim udało się wreszcie wtargnąć do wnętrza. Rozerwano strony i sumiennie rozdzielono je między szpital a więzienie. Resztę dzieci — było ich tam jeszcze dwoje — wzięli dobrzy ludzie do siebie, jak zawsze, dobroczynność musi wkroczyć tam, gdzie prawo nie wystarcza.

Dozorczynie otuliły dziecko kocem, a młodsza wzięła je na ręce.

— Jaki lekki! — zdumiała się.

— Tak, dzieci tego rodzaju zawsze mało ważą — odparła starsza.

— Będzie miał z cztery, najwyżej pięć lat.

— Starszy. Dzieci zrodzone i wyrosłe w wilgotnych, nieopalanych izbach, nie rozwijają się normalnie. Sześć lat ma bezwątpienia.

— Biedactwo! — Przytuliła je tkliwie do piersi i z macierzyńską troskliwością pochyliła się nad niem, jak gdyby je chciała pocałować w czoło. — Zostanę przy nim przez noc, może odzyska przytomność — szepnęła.

Tamta zrozumiała uczucie, dyktujące te słowa i skinęła głową przychwalająco.

— Przygotuję mu filiżankę buljonu i żółteczko, zanim się położę — powiedziała.

— Połóż też na tacę kilka ciastek, ucieszy się niemi, chociażby ich nie mógł jeść. Zrób to!

— Dobrze, dobrze!

Pożegnały się skinieniem głowy i wysunęły się cichutko każda w swoją stronę.

Numer trzynasty znajdował się obok sali operacyjnej. Dozorczyni z dzieckiem weszła tam i złożyła je na łóżku.

Chłopiec opadł na poduszki i wyglądał, jak brzydka plama na śnieżnej pościeli. Otuliła go starannie, podwinęła rogi poduszki, słowem, ułożyła go jak najwygodniej. Zdało się jej, jakoby należało się mu zadośćuczynienie za wielką krzywdę, wyrządzoną mu przez wielu, a jej przypadło w udziele chociaż w części odkupić tę winę. Nie chciała się zrzec tego obowiązku — o ile będzie w jej mocy, dziecko poniesie z sobą na tamten świat przynajmniej piękne wspomnienie — postanowiła.

Ułożywszy je, usiadła obok i czekała. Wtem poczuła nieprzepartą ochotę popatrzenia w oczy chłopcu. Wyobrażała sobie, że barwa ich i wyraz powiedzą jej wiele, a uśmiech zadowolenia na ustach dziecka byłby jej nagrodą.

Chłopiec leżał wciąż bez ruchu. Zgnieciona klatka piersiowa podnosiła się nierównym oddechem, a silne rumieńce na policzkach zdradzały gorączkę. Od czasu do czasu wydobywało mu się z gardła charczenie i rozchylały się wargi, jak gdyby wzywać chciały ratunku, lecz nie wyszedł z nich dźwięk dosłyszalny. Dozorczyni nie spuszczała z niego oka i chwilami potrząsała głową. Lekarz miał słuszność, tu niema ratunku, a jednak — a jednak... Gdyby chłopczyk tylko otworzył oczy, ona doda im blasku, sprawi mu przyjemność. Wszystko zrobi, co się tylko da, środków jej nie brak: na stoliku stoi filiżanka z buljonem, żółtko, talerzyk z ciastkami i flaszeczka morfiny — wszystko to, przyniesione cichuteńko, sprawi cud, o którym marzy.

A kiedy myśl jej wciąż była tem zajęta, oczy wpatrywały się w ostrą twarz i chudą rękę, która się wysunęła z pod kocyka. Paznokcie były popękane i brudne, kostki szerokie, spłaszczone. W ręce tej, o szorstkiej, chropawej skórze, było coś bezradnego, co napełniało dozorczynię smutkiem, a jednocześnie coś zwierzęcego, drapieżnego, co ją odpychało. Lecz, jak gdyby myślą tą skrzywdziła go, pogłaskała tkliwie popękaną skórę. Wkrótce potem przymknęła oczy i zamiast myśli, nadpłynął sen — zasnęła, lecz nie tak twardo, aby nie słyszeć tego, co się koło niej dzieje.

Gdy się nagle ocknęła, czując, że coś zaszło, ujrzała przedewszystkiem dwoje bezbarw-

nych, zamglonych oczu, które patrzyły na nią pytająco. Dostrzegła w nich przytomność, ale miała nadzieję, że będą wyglądały inaczej. Nawet gorączka nie dodała im blasku, nie było w nich nic, prócz naiwnego zdziwienia.

Tymczasem dozorczyni już oprzytomniała zupełnie i postanowiła swój plan wykonać.

— Jak się nazywasz? — brzmiało jej pierwsze pytanie.

Chłopiec spłoszył się, jak gdyby schwytany na gorącym uczynku czegoś niedozwolonego, lecz łagodny głos dodał mu odwagi i kiedy pytanie powtórzono, odparł:

— Eryk, ale w domu nazywają mnie Ryk.

Głos miał gruby, chrapliwy, a ostatnia sylaba brzmiała, jak przenikliwy zgrzyt, wstrząsający nerwami dozorczyni.

— Eryk to ładne imię — rzekła, usiłując się opanować.

Chłopiec poruszył ustami, jak gdyby chciał sprzeciwić się jej nieprawdziwemu twierdzeniu, ale niebawem dał spokój: skoro jej się podoba, niech i tak będzie — zdawał się myśleć.

— Czy Eryka co boli?... albo może...

— Nie — odparł żywo. — Ino mi coś w boku świdruje.

— Eryk jest głodny?

Jej życzliwy, przyjazny sposób przemawiania działał na niego widocznie uspokajająco.

— A ino! — zawołał. — Żeby tak coś klawego, to —

Nie dokończył, lecz uważnie patrzał na nią bokiem, jak daleko może się posunąć.

— Możeby Eryk chciał łyczek buljonu?

Szybkie badanie widocznie usunęło wszelkie wątpliwości, gdyż odpowiedział pytaniem:

— A to co dobrego?

— Dobre! — Poszła i przyniósłszy filiżankę ciepłą jeszcze, pomogła mu się napić.

— Eryczkowi nie wolno siadać na łóżko.

— No, to nie. — Przełknął z jej pomocą kilka łyków, lecz wkrótce odsunął filiżankę, mruknąwszy: — Kawa lepsza.

— Kawa niezdrowa jest dla dzieci.

Skrzywił się pogardliwie, jak gdyby się na tem lepiej od niej rozumiał, lecz zaraz wrócił do poprzedniej miny. Nie chciał się kłócić z tą obcą kobietą, która była dla niego taka dobra i grzeczna, a chcąc niejako dać wyraz swoim dobrym zamiarom, odezwał się:

— Myśmy zawsze dostawali kawę. Ma się wi, że małpa nazywała to paskudną lurą z cykorji — ale niezłe to było.

Roześmiał się z zadowoleniem, ukazując dwa rzędy zepsutych, lecz ostrych, drapieżnych zębów.

(Dok. nast.). Tłum. *J. Klemensiewiczowa.*

BRONISŁAW SZWARCE.

PAMIĘTNIKI.

(1834 — 1903).

(Ciąg dalszy).

Sienkiewicz powinien był więc wziąć przynajmniej typ teraźniejszego Bawara czy Tyrolczyka, dla którego ideałem jest *saufen und raufen,* jak dla naszej szlachty XVIII. wieku i który najzupełniej odpowiada Sienkiewiczowskiemu typowi Polaków z pod Grunwaldu. Jest to więc arcyszkodliwe fałszowanie historji, a badanie niemieckich ówczesnych źródeł wykazuje, że mam najzupełniejszą słuszność.

Nie będę mówił o komicznej stronie takiej nieświadomości, o Abrahamie, strzelającym z pistoletu do Izaaka, o średniowiecznych obrazach świętych, gdzie Pan Jezus przekształcił się w szwabskiego bursza, o Agamemnonie w peruce i Kleopatrze w krynolinie, o francuskich powieściach, gdzie mamy w XIX. wieku pod Sandomierzem feodalny zamek, a występuje *le Tartare Ivan* w czerwonej koszuli i moskiewskim kapelusiku i t. p. Teraźniejsze opisy tych czasów, które pamiętam, jawią mi się w takiej niemożliwej szacie, chociaż przeszło zaledwie pół wieku, że nie wiem, czy pękać ze śmiechu, czy wściekać się ze złości, a ujemny wpływ takich przekręceń na teraźniejsze pokolenie jest aż nadto widoczny; opłaca ono krwią i złotem niesłychane nieuctwo i łatwowierność teraźniejszych badaczy, albo też niedbalstwo i złą wiarę ówczesnych źródeł, a nadewszystko niegodziwą teraźniejszą naukową metodę.

Tembardziej muszę się postarać, ażeby czytelnik miał jasne i nieprzekręcone pojęcie o czasach mojej młodości, ażeby nie wierzył w fotografję Taleyranda lub telegram Napoleona do Aleksandra I., że mowa tu o roku 1844, że wkrótce mają nastąpić w mojem opowiadaniu bardzo ważne, wiekopomne chwile: rok 1846, 1848, urodziny socjalizmu, chrzciny pozywityzmu, nowe europejskie konstytucje — a kto nie zna dokładnie ówczesnych obyczajów i pojęć, kto je

zechce ocenić podług dzisiejszej mody, tyle o tych wielkich wypadkach będzie wiedział, co pozytywista o matematyce.

Zacznę od obyczajów powszechnych i od związanych z nimi przyrządów, od tego, co ochrzcili dzisiaj niezrozumiałym wyrazem „k u l t u r a“, znaczącym po łacinie poprostu u p r a w a. Wiele z tych przyrządów bez których dzisiejszy cywilizowany człowiek niby żyć nie może, były lat temu sześćdziesiąt zupełnie albo prawie zupełnie nieznane. Któż może dzisiaj istnieć bez zapałek? A ich za moich lat dziecinnych wcale nie było we Francji, dopiero zaczynały się pojawiać i nazywano je „*allumettes chimiques allemandes*“, zapałki chemiczne niemieckie. Panowało jeszcze wszechwładnie na wsi k r z e s i w o z nieodstępną h u b k ą, a gosposie biegały o świcie pożyczać ognia, który się w postaci ż a r u przechowywało całą noc pod popiołem; to też daleko mniej było, osobliwie u nas w Polsce, pożarów po wsiach, bo zachodnie domy, murowane i nie kryte słomą tak łatwo płonąć nie mogą. W moich wspomnieniach pożar jest wielką osobliwością i wcale nie ma tych prawie codziennych łun, do których przyzwyczaiłem się na Sybirze, a osobliwie w błogosławionej Galicji. Oprócz krzesiwa widziałem jeszcze maszynkę dla dobywania ognia rozkładaniem wody kwasąmi; otrzymany tlen łączył się z wodorem i rozżarzał platynową gąbkę. Ale te maszynki istniały bardzo krótko i zostały natychmiast wyrugowane przez zapałki; te ostatnie przyswoiły sobie przez pewien czas nazwisko s i a r n i k ó w, to jest przesiąkniętych siarką patyczków, niezbędnych dawniej w każdem gospodarstwie dla otrzymania płomienia z żaru bez mozolnego dmuchania.

Wszechwładna dzisiaj fotografja także się przy mnie urodziła i samem się jeszcze fotografował na blasze, bo papierowe odbitki pojawiły się dopiero około 1845 roku; pierwsze n e g a t y w y pokazywało się jako wielką osobliwość. Telegraf elektryczny został właśnie wówczas wynaleziony; długo jeszcze potem nie było we Francji przyrządu Morse'go, a używano aparatu Bregeta (Bréguet), na którym głoski wykazują się kręceniem korby na cyferblacie. Ma się rozumieć, że wszystkie elektryczne wynalazki są jeszcze daleko późniejsze, a wówczas trzeba było kilka tygodni czasu, by otrzymać wiadomość z oddalonych krajów, co wyjaśnia bardzo wiele ówczesnych politycznych wypadków. Widziałem jeszcze owe znakowe, napowietrzne telegrafy, wywijające ogromnemi łapami, nieczynne w nocy, a tem bardziej śród mgły; przy takim sposobie telegrafowania można było bardzo łatwo przejąć depeszę, a nawet przy pomocy podkupionego urzędnika na podrzędnej stacji zupełnie ją przerobić. (C. d. n..

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Spoczną i wstaną! Mogiły uczestników walk o niepodległość narodową na cmentarzu stanisławowskim zebrali Justyn Sokulski i Leon Krzemieniecki. Stanisławów 1906. W przeddzień „Zaduszek“ prawie przychodzi niniejsza książeczka, wyliczająca mogiły uczestników walk narodowych w r. 1831, 1848 i 1863, którzy spoczęli na cmentarzu w Stanisławowie. Dzięki zapobiegliwości autorów, Stanisławów, pierwszy może się poszczycić tego rodzaju wydawnictwem. Lwowskie naprzykład cmentarze czekają jeszcze swego historyka, któryby spisał i w ten sposób od zapomnienia, a może i zagłady uchronił groby zasłużonych bojowników o wolność narodu. Z wielu, bardzo wielu, którzy spoczęli na cmentarzu stanisławowskim, znajdujemy tam także mogiły Mikołaja Antoniewicza, poety Maurycego Gosławskiego, Wincentego Smagłowskiego, który od r. 1825 aż do wojny francusko-pruskiej w r. 1871 brał udział we wszystkich prawie przedsięwzięciach wojennych, o ile wiązała się z nimi nadzieja zdobycia niepodległości Polski, a równocześnie gromadził księgi, które ofiarował potem gminie m. Stanisławowa.

Z osób, biorących czynny udział w ruchu rewolucyjnym r. 1848, spoczywają na cmentarzu stanisławowskim: Władysław Dzwonkowski, Stefan Hoszowski, zabity przez żołdaków uczeń gimnazjum stanisławowskiego, niedawno zmarły dr. Ignacy Kamiński i w. i.

Najwięcej jednak spoczęło na cmentarzu stanisławowskim żołnierzy z r. 1863, a między nimi: Agaton Giller, Kopernicki Franciszek, Millerowicz Felicjan, Mokłowski Mieczysław, Świdziński Karol i t. d.

Al. Kraushaar: Wizerunki i obrazy. — Warszawa 1906. Popularyzowanie historji, ale popularyzowanie w sposób naukowy stało się teraz modnym i użytecznym sposobem wprowadzania szerszych warstw w tajniki historji a zwłaszcza historji najnowszej. Służą do tego artykuły w rozmaitych poważniejszych, choć nie specjalnie naukowych, organach. Geneza tych artykułów jest rozmaita; znalezienie jakiegoś ciekawego rękopisu, świeżo wydana książka, pomieszczenie jakiego obrazu, czy portretu daje przeważnie asumpt do napisania takiego artykułu, czy artykulików. Pisane przez jednego autora, zebrane następnie razem, tworzą książkę. Tak stało się z artykułami Askenazego, zebranymi w jedno p. t. „Wczasy historyczne“.Temu też zawdzięcza swe powstanie książka o tytule powyższym. Są to luźne artykuły, pisane przygodnie, o stylu feljetonistycznym. Są to jednak rzeczy nierówne, taka n. p. notatka o Łyseńce jest niczem więcej, jak powtórzeniem tylko cośkolwiek innemi słowami opowiadania Korzona, podczas gdy uzupełnienie o Frankistach jest rzeczą obszerniejszą i ciekawą. Najkapitalniejszą rzeczą jednak i najlepszą tego zbioru są reprodukcje wielu rycin i sztychów, sam bowiem p. K. jest bardzo dobrym znawcą i właścicielem znacznej ich ilości.

Porównując jednak tę książkę z podobnymi „Wczasami“, wychodzi to porównanie na korzyść niepodzielną tych ostatnich, ponieważ wizerunkom brak tego zgłębienia i tej atrakcji, jakie tkwią we „Wczasach“ a zbierane z czasów dawniejszych, kiedy tymczasem pojawiły się inne rzeczy, już tracą tę barwę aktualności.

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.